

TEATR

ANDRZEJ HAUSBRANDT

PERTURBACJE Z ANEGDOTĄ

Raz po raz wypada mi się tutaj zająć audycją pani red. Terentiew z ul. Woronicza w m.st. Warszawie, a raczej prowadzoną przez nią audycją „XYZ”. Nie żeby ten program stanowił moje hobby, gdyż jest odwrotnie, ale ponieważ występują w nim różni znajomi, o których ma się ochotę pogwarzyć. Zgadywanek „XYZ” – jak miałem to już okazję kiedyś na tym miejscu nadmieniać, uważam za popis snobizmu środowiskowego i jako taki nie interesuje mnie ona zupełnie, natomiast nieco żenuje. Znajomych zaś obserwuję chętnie zarówno jako zgadywających, jak i zgadywanych. Ostatnio, tj. w końcu października, X-em była Izabella Cywińska: dyrektor teatru, reżyser, menażer, sportsmenka, etnograf, a nawet – jak się okazało – indiański mistyk i niegdysiejsza prywatna (choć artystyczna) inicjatywa.

Cywińska jest w PRL-u instytucją nie tylko dlatego, że jednoczy w sobie cechy kobiety-myszki i boksera wagi piórkowej. Jest to po prostu ktoś, kto potrafi, jeśli się zaważmie. A na teatr Iza zawzięła się od lat z różnym, choć zawsze fascynującym skutkiem. Po prostu mąci stojącą wodę, robi szum, w którym chodzi o coś konkretnego, o nieograniczone ilości wdzięku i siłę przebicia rakiety typu Posejdon z wielogłowicowym ładunkiem. Tylko ona była zdolna tak spaprać „Panią Dulską”, jak to ongiś w Kaliszu uczyniła, i tylko ona potrafiła pokazać tak znakomite przedstawienie „Łaźni” Majakowskiego jak to, które przyszykowała w ubiegłym sezonie w Poznaniu. Myślę, że Cywińska jest graczem przy naszym teatralnym stoliku, który nie tylko jeszcze nie pokazał ostatniej karty, ale nawet na dobre nie wszedł do gry. Jak wejdzie – być może – rozbije bank. Czego jej z całego serca życzę.

Otóż w rzeczonem XYZ-cie pojawienie się w finale bojowej reżyserki było niejakiem zaskoczeniem. Przynajmniej dla mnie i części jurorów. Ale było to moje pierwsze zaskoczenie. Drugie nastąpiło w chwilę później.

Jednym ze zgadywających był Jan Świdorski – aktor znakomity i profesor młodzieży teatralnej nadzwyczajny (choć jako profesor według akademickiej nomenklatury –

zwyczajny). W trakcie rozmowy ze zgadującymi Cywińska – dość nieoczekiwanie – powołała się na opisywany przeze mnie wypadek z egzaminów do szkoły aktorskiej, w którym uczestniczył Świdorski. Zdarzenie polegało (czy polegać miało) na tym, że kandydat zapytany przez znakomitego aktora, czemu zdaje do PWST, odpowiedział „żeby nie iść do pracy”. Iza przypomniała to Janowi Świdorskiemu, ten uprzejmie kiwnął głową, po czym poznańska dyrektorka rozwinęła myśl, z której wynikało, że funkcjonuje opinia, jakoby uprawianie sztuki nie było pracą. Dalsze implikacje takiego rozumowania są oczywiste i nie wymagają komentarza. Przyznam nawet, że poczułem się przekonany argumentami, tylko że nie umiałem sobie przypomnieć jakoby opisywanego przeze mnie zdarzenia. Grzebiąc w przeszłości, a nawet w dokumentacji czasu przeszłego, zajrzałem do numeru 10 (340) „Widnokręgów”, w którym opublikowałem mój kolejny felieton teatralny (Boże! To już jedenasty rok pisania na tych łamach). Daję nura do podręcznego archiwum i wyciągam maszynową kopię felietonu. Sprawdzam i wreszcie widzę gdzie pies pogrzebany. Opisując egzaminy do PWST sprzed – bodaj – 6 lat przytoczyłem wypadek, w którym jakiś rozbyczony leser bananowy na pytanie Świdorskiego o motywacje wyboru szkoły teatralnej odpowiedział: „Żeby nie iść do „woja”!” Ktoś się kropnął i z jednego markieranta, migacza, obiboka uchylającego się od służby wojskowej wyszedł nierób i bęcwał. Nie podzielałem tego toku rozumowania ani nie widzę potrzeby klajstrowania sprawy. Ale o tym wszystkim ani Świdorski (który po tylu latach zapomniał, o co chodzi), ani Cywińska nie znająca autentycznego tekstu wiedzieć nie mogli. Natomiast skutkiem owych perturbacji rzeczony pasus mego październikowego felietonu był raczej bez sensu, aczkolwiek posłużył za „podkładkę” do rozsądnej i efektownej tezy przed kamerami TV. Myślę, że mym Czytelnikom, którym nie błagowałem, należy się wyjaśnienie, a cytującej mnie artystce przeprosiny, iż mimowolnie została wpuszczona w maliny. Nie z mojej winy, ale pod moim nazwiskiem.

I tutaj miejsce na refleksję: w teatrze fikcja staje się równoznaczna rzeczywistości. Teza o pojmowaniu przez wielu jeszcze ludzi zawodu aktorskiego (a właściwie wszelkich zawodów artystycznych) nie w kategoriach pracy, tylko trochę cwaniackiego wymigiwania się obowiązkom życia, jest tezą funkcjonującą często-gęsto. Mimo że nie wynika z mojej, zacytowanej obserwacji (rzeczywistej), lecz potocznych doświadczeń każdego, kto zajmuje się relacjami: środowisko sceny i ta reszta. Zresztą z tego co napisałem w oryginale, też można wyprowadzić uwagę, iż teatr (a może w ogóle studia) niektórzy traktują jako sposób ucieczki przed obowiązkami. Nie tylko w zakresie elementarnego obowiązku obywatelskiego, tj. służby wojskowej, ale w ogóle przed odpowiedzialnością za swoje życie i poczynania. Mam nadzieję, że dotyczy to wąskiego marginesu, choć obawiam się, że nie tylko tego jednego wypadku, o którym pisałem.

W szerokiej wypowiedzi Izabelli Cywińskiej, prócz powoływania się na mnie i reminiscencji amerykańskich, wspomnień wczesnej młodości i pierwszego boutique'u w Warszawie, znalazła się uwaga niezmiernie ważna i głęboka. Reżyserka na pytanie, czy wyobraża sobie stworzenie zwartego zespołu w Warszawie, zespołu ideowo-artystycznego, odpowiedziała, że tak, ale na krótko, ponieważ w tym mieście siły odśrodkowe

w życiu teatru i wokół teatru (film, tv itp.) są tak silne, że muszą rozerwać w końcu każde więzy pozaformalne. I to jest wielka, choć smutna prawda. Prawda o jeszcze jednym aspekcie kryzysu teatru, który sam przez się staje się już banałem. Jedyne zwarty (choć gwiewielki) zespół ma Grotowski, ale on nie robi teatru. Mało tego, jak niedawno powiedział mi jego kierownik literacki i ideolog całego przedsięwzięcia – Ludwik Flaszen – w skali świata, oczywiście świata młodych, Grotowski stał się trochę już spetryfikowaną legendą. Gdy za dalekimi granicami wymieniają jego nazwisko, młodzi plasują je gdzieś między Craigiem a Stanisławskim. I to nie tylko w sensie ideowym, ale i historycznym. Grotowski ...? To on jeszcze żyje? Oczywiście nie jest to bardzo ważne, żyje – czy nie żyje w czyjejs tam świadomości, ważne, że ma swoją grupę uczniów i apostołów tego, co robi. Kto ma prócz niego taką grupę w naszym teatrze? Kto jeszcze? Słucham zgłoszeń...

Kantor? Nazwisko na antypodach programowo-artystycznych. No, w pewnym sensie jest tu coś podobnego. Jest zespół owiany wspólną, jednoczącą myślą, przyjmujący szyderstwa jak pochwały i znoszący sukcesy niczym pańszczyznę. Ale – powiedzmy otwarcie – Grotowski i Kantor to nie główny, choć ważki, nurt naszego teatru. Czy w tym teatrze jak chleb powszednim jest zespół? Czy są uczniowie i apostołowie wspólnej wiary? Wiary w to co robią i w tych, z którymi robią. A jeśli są, to na ile? Na sezon? Dwa? Do kontraktu z filmem? Do następnego serialu w telewizji?

Oczywiście może ktoś powiedzieć, że we współczesnej sztuce coś takiego nie jest w ogóle potrzebne, że obejdziemy się bez maniaków, postrzeleńców, wariatów i entuzjastów. Nieprawda! Nie obejdziemy się, bo nimi właśnie od początku, od narodzin sztuka stała. Oni byli jej inkubatorem, oni – a nie ktokolwiek inny – stworzyli sztukę między całą resztą normalnych, rządzących się chłopskim rozumem ludzi. Ci błogosławieni pomyślnicy. I ich naśladowcy, uczniowie, apostołowie. Legenda Reduty Juliusza Osterwy żyje do dziś. Żyje omszała siwizną, bardziej już cementarna niż sceniczna, ale żyje. Czym będzie żyło wspomnienie samych etatów?

Cywińska mówiła też, że wśród aktorstwa krąży potrzeba scalania się w kolektyw twórcze. Że instynkt gromadny tego wspaniałego zawodu, gdzie mimo indywidualnych przeczości w końcu każdy odpowiada za wszystkich i wszyscy za każdego, bierze górę. Wciąż jednak tylko w tęsknotach. W marzeniach, którym naprzeciw nie wychodzi rzeczywistość. Czemu?

Ano, chyba temu – że to zespoły, że ludzie sami muszą sięgnąć marzeń, uchwycić je i oprzeć na nich własną egzystencję, własny byt, własną rzeczywistość.

A ponieważ rozmyślając o tym wszystkim dochodzimy Nowego Roku, nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć innym i sobie, a zwłaszcza polskiej scenie narodowej – chlubię naszej kultury, dumie naszej sztuki – by znaleźli się profeci godni uczniów i uczniowie co będą głosicielami wiary apollinińskiej i ci, co z miłością i czcią przyjdą do nich po osobny świat nieprawdziwy, ale w prawdzie. A gdy to się stanie na parę sezonów zapomniemy o kryzysie.